

Rzeszutko, Zbigniew

Tryptyk bieżuński

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 23, 161-178

2009

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

TRYPTYK BIEŻUŃSKI^{*)}

1.

Wracając z Płońska do miejsca swego obecnego zamieszkania, mam do wyboru kilka tras. Jeśli czas pozwala i nie śpieszę się, wybieram trasę przez Biežuń. Tak było jesienną porą. Jadąc ulicą Warszawską, nieco przed budynkiem liceum, na chodniku po drugiej stronie, zauważam ogromną hałdę ziemniaków, wylewającą się na jezdnię. Wokół niej krząta się kilka osób, napęlniając pośpiesznie nimi worki. Ten obrazek, prawie w centrum jakby nie było miasta, uruchamia wspomnienia zapisane na taśmie mojej pamięci.

W deszczowy wieczór jednego z ostatnich dni sierpnia 1952 roku z ciężką tekturową walizką o kształtach i formacie rozpoznawalnym dzisiaj już tylko na śmietnikach lub w powojennych filmach – w jednej ręce i dodatkowymi pakunkami z prowiantem – w drugiej, wyruszyłem ze swej rodzinnej wioski spod Rzeszowa w Polskę, wówczas nie zdając sobie sprawy z tego, że ten wyjazd zdeterminuje całe moje późniejsze, dorosłe życie.

Miałem wtedy trzynaście lat, ukończoną szkołę podstawową, ogromną ciekawość świata poza swymi rodzinnymi stronami i chęć do dalszej nauki, która miała się spełniać, przynajmniej w pierwszym etapie, w docelowym przystanku mej obecnej podróży. Zatopiony w myślach o nieświadomej przyszłości nie zwracałem uwagi, że zaczął padać deszcz i moja walizka, pamiętająca wyjazdy ojca za chlebem do Francji, sfatygowała i zdeformowała się mocno, a rozmoczony papier na paczce z prowiantem zaczął się rwać i ukazywać jej zawartość, a więc ogromny bochen wiejskiego chleba i suszone okrągłe gomółki sera, wytęsknione i oczekiwane przysmaki mojego starszego kuzyna. Przemoczony, z mocno pokiereszowanym bagażem, wcisnąłem się do wypełnionego po granice wyobraźni pociągu.

^{*)} Tekst publikowany w "Tygodniku Ciechanowskim" Nr 12-14, 2008 r.



Autor wspomnień Zbigniew Rzeszutko

Zbigniew Rzeszutko ur. 15.04.1939 r. w podrzeszowskiej wsi Łukawiec.

Naukę szkolną na poziomie ponadpodstawowym rozpoczął w Bieżuniu, w Liceum im. Wł. Orkana, kierowanym przez Stefana Gołębiowskiego, zaś maturę uzyskał w Liceum im. S. Żeromskiego w Łańcucie. Po ukończeniu studiów na wydziale ogrodniczym Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu podjął pracę jako nauczyciel zawodu w Szkołach Przysposobienia Rolniczego, kolejno: w Lubowidzu, Sinogórze, Bieżuniu. Kariere nauczycielską zakończył w tym samym miejscu, w którym zaczynał edukację, a więc w bieżuńskim liceum, w roku 1967. Lata 1968-2004, z małymi przerwami, to praca w doradztwie rolniczym na Rzeszowszczyźnie i w Poświętnem k. Płońska. Autor wielu artykułów do fachowej prasy rolniczej i artykułów publicystycznych do prasy lokalnej. Nagrodzony w ogólnopolskim konkursie na pamiętnik doradcy rolnego, autor tomiku wierszy "Różnorodnie i kolorowo". Od 2005 r. na emeryturze. Mieszka w Lidzbarku Welskim.

Podróż była długa. Pociąg leniwie ciągniony przez dychawiczny parowóz, przystając, cofając się i kilkakrotnie zmieniając kierunki, zaliczał kolejne etapy podróży, by wchłaniać lub wypluwać swe wnętrze kolejno w Rozwadowie, Sandomierzu, Ostrowcu, Skarżysku, Łodzi, Kutnie, wreszcie i ostatecznie dla mnie, wieczorem dnia następnego, w Sierpcu. Ostatni w tym dniu autobus nierozpoznanej marki, zapewne z demobilu, po wyboistej, zdawało się, nie mającej swego końca drodze, wreszcie dowiózł mnie do celu przeznaczenia... do BIEŻUNIA.

Tak rozpoczęła się moja ówczesna i późniejsza wieloletnia przygoda z tą miejscowością, która w resentymentach i wspomnieniach trwa do dziś.

Od 1 września rozpocząłem edukację w 8 klasie Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Orkana w Bieżuniu, w zupełnie dla mnie nowym środowisku, pośród obcych ludzi. Nawet mój kuzyn, u którego zamieszkałem, a który wraz z żoną po skończeniu studiów "z nakazu" podjął tutaj pracę, ze względu na znaczną wówczas różnicę wieku między nami był dla mnie prawie obcym, niedościgłym i nierozpoznanym wcześniej autorytetem.

Liceum, do którego zacząłem uczęszczać, było fenomenem w ówczesnych czasach. Liceum na wsi. Dziś trudno uwierzyć, że bezpośrednio po wojnie powołał je do życia jeden człowiek siłą swej woli, uporem i umiejętnością argumentacji, powołał je do życia, wbrew oporom urzędników z Warszawy, w miejscowości, która poza tym, że użyczyła miejsca do życia kilku zapaleńcom, niczym innym na taki splendor nie zasługiwała. Założycielem i pierwszym dyrektorem liceum był Stefan Gołębiowski. Jakiego formatu był to człowiek, ile liceum i środowisko mu zawdzięcza, zrozumiałem dopiero po latach, gdy wyposażony w pewien zasób wiedzy, samodzielnie już myślący, nie musiałem drżeć przed jego obliczem, obawiać się laski podtrzymującej zdeformowane ciało i złośliwego humoru, osłaniających Go w jakiś sposób (dzisiaj to wiem!) przed małostkowym szyderstwem i nieprzychylnością otaczającego świata.

Jak wyglądał w tym czasie Bieżuń? Zapewne biednie i zapewne jak większość podobnych miejscowości w tym rejonie Polski w kilka lat po wojnie. Dla mnie był ciekawy swoją innością i codzienną koniecznością rozpoznawania tej inności.

Zamieszkałem w budynku kompleksu szkolnego na piętrze, skąd okna otwierały mi widok na duży brukowany "kocimi łbami" rynek. Ten ogromny plac, zwykle senny i pustawy, zamieniał się raz w tygodniu, w środę,

w ogromny, tętniący życiem i ludzkimi namiętnościami plac targowy wypełniony po brzegi zaprzęgami konnymi z najróżniejszymi dobrami produkowanymi w okolicznych wioskach, zmieniającymi się asortymentowo w zależności od pory roku. Po zakończeniu targu w godzinach popołudniowych szły w ruch miotły i cały plac wysprzątany wracał do sennej rzeczywistości, by czekać na następną środę. Jednym z głównych urządzeń funkcjonujących na rynku była pompa czerpiąca wodę. Do niej to promieniście prowadziły, w zasadzie niewidoczne latem, a wydeptane w śniegu zimą, ścieżki wszystkich mieszkańców, których domy okalały rynek i jego najbliższe otoczenie. Wszyscy wracali od niej najczęściej z jednym wiadrem wody. Po drugie wędrowali pod most, gdzie z drewnianej kładki nabierało się wody wprost z rzeki. Ta pierwsza służyła do picia i gotowania, druga jako bardziej miękka do mycia i prania. Bywało, że jednakowe wiadra zamieniły się miejscami i było już na odwrót. Woda w rzece była jednak tak czysta, że piło się ją często świadomie i nie przypominam sobie, by komuś zaszkodziła. Proceder zaopatrywania domu w wodę opanowałem szybko, gdyż był to jeden z moich podstawowych i codziennych obowiązków.

Rozpoznanie topografii miejscowości nie nastręczyło mi wiele trudności, gdyż wszystko było na miejscu i w kupce. Od rynku, do którego od strony Żuromina wjeżdżało się przez drewniany most na Wkrze, odchodziły kolejno niezbyt głęboko zabudowane ulice do młyna i "pałacu", do Sierpca, do Płocka (po krótkim odcinku zabudowy ulica zamieniała się w pełną piaszczystą drogę), do Warszawy, u wylotu której stał kościół. Tuż za nim, w stronę tzw. Borku i odwrotnie, w stronę drogi na Sierpc, stały ciasno upakowane drewniane stodoły, półkolem okalające Biezuń, potwierdzające rolniczy charakter osady. Ten charakter potwierdzały również codzienne odgłosy życia osady, a więc turkot metalowych obręczy kół wozów przemieszczających się po nierównym bruku i odgłos obijających się po kamieniach, długich łańcuchów, mozolnie ciągniętych przez wypędzane i wracające z pobliskich pastwisk krowy. Rankami i wieczorami, szczególnie w dni pochmurne, cała osada spowijała się w dymy kuchennych palenisk, dymy o swoistym zapachu. Materiałem opałowym nagminnie stosowanym były wówczas odpowiednio przygotowane i wysuszone brykiety torfowe. Zapach ten pamiętam do dziś.

Rynek okolony w większości drewnianymi domami, to centrum ówczesnego Bieżunia. Tutaj, na środku, zatrzymywały się autobusy łączące go z powiatowym Sierpcem i dalej traktem kolejowym ze stolicą i resztą Pol-

ski. Połączenia autobusowe z Warszawą – to daleka przyszłość. Tutaj lub w pobliżu mieściły się wszelkie instytucje użyteczności publicznej, a więc długi drewniany barak, gdzie wyświetlano filmy, gospoda, gdzie szczególnie w środy jej skromne, dwuizbowe pomieszczenia nie mieściły chętnych przyklepania transakcji handlowych, zakład fryzjerski na rogu Młyńskiej, gdzie można się było ostrzyć i ogolić, ale i zasięgnąć informacji, opinii i wymienić poglądy, dalej w głębi Młyńskiej – szkoła podstawowa, gdzie królowały przedwojennej klasy nauczycielki, panie Sadkowska, Majlich i Cabajewska, poczta, posterunek milicji, lokalny radiowęzeł, apteka, wreszcie boisko szkolne wraz z budynkiem internatu, no i kompleks budynków liceum. W niedzielę centrum życia przenosiło się w stronę kościoła.

Największą atrakcją dla nas wszystkich mieszkających wtedy w Biezuńniu była rzeka wypływająca, zdawało się, gdzieś hen za pałacowym parkiem. Napędziwszy po drodze młyńskie koło, oblewała Biezuń od strony północnej malowniczymi meandrami, oddaliwszy się nieco, wracała, by pod mostem użyzyć mieszkańcom swej wody porcjowanej na wiaderka i stąd już w miarę prostym odcinkiem oddalić się w kierunku Borku, tam jeszcze raz poskręcać się jak niesforna wstążka na głowie dziewczyny i zniknąć w nierozpoznanej w owym czasie przeze mnie dali.

Rzeka bogata była w rybę wszelaką. Wydawało mi się, że wędkowanie, czy w ogóle łapanie ryb było zawodem, rozrywką, kulturowanym rytuałem każdego ówczesnego biezuńianina, bez względu na wiek. Zdawało się, wystarczy, by dziecko nauczyło się chodzić, trzymać byle jaki kij w ręce z nitką, sznurkiem i haczykiem na końcu, i już, jak na odwieczny zew, ciągnęło w kierunku rzeki, by zgłębiać tajniki wędkowania.

Rzeka była i dla mnie nie lada gratką. Przyzwyczajony do górskiego strumienia w swych rodzinnych stronach, gdzie rwące, wąskie płycizny rzadko zamieniały się w większe rozlewiska, porywany w nim przez silny prąd i obijany o kamienie, z przyjemnością poddawałem się pieszczocie wolno płynącej wody w biezuńskiej Wkrze, ciesząc się pokonywaniem znacznych długości i to zarówno z prądem jak i pod prąd.

Drewniany most łączący Biezuń z resztą świata, od strony północnej, spełniał wiele funkcji. Był miejscem spotkań zarówno dzieci, młodzieży, jak i dorosłych. Tutaj oparci o poręczę stali wędkarze i duzi, i mali z nieodłącznym gronem obserwatorów. W lecie, w dni upalne, z mostu skakało się do wody “na główkę”. Nie były to zabawy bezpieczne i zbyt mądre, gdyż w wodzie i ponad nią stały drewniane słupy – pozostałość po

wcześniejszym, zniszczonym moście i mogło dojść do tragedii – na szczęście nie doszło! Słupy owe były wykorzystywane przez nas do zawodów typu – kto dłużej wytrzyma pod wodą. Obejmując słup rękoma i nogami, schodziło się po jego śliskiej powierzchni do samego dna, tam wytrzymało się jak najdłużej, a na dowód bytności tam trzeba było wynieść na powierzchnię garstkę mułu. Byli w tej konkurencji mistrzowie.

W okresie zimowym rzeka potrafiła rozlać się szeroko po okolicznych łąkach i utworzyć niekończące się lodowiska, kolejną frajdę dla dzieci i młodzieży tamtych czasów.

Tak zapamiętałem, tak zapisałem w pamięci Biezuń sprzed półwiecza, podczas swej tam bytności w roku szkolnym 1952/1953. Było to spotkanie pierwsze, lecz nie ostatnie. Będę tu wracał, ale to już zupełnie inne historie.

2.

Minęły kolejne lata. Ukończyłem edukację na poziomie średnim w Łańcucie i dalej z rozpędu zaliczyłem wyższą uczelnię nauk rolniczych w Poznaniu. Był rok 1962. Po odbyciu obowiązkowego stażu pracy w gospodarstwie ogrodniczym w Pszczynie byłem wolny jak ptak, bez zobowiązań i mogłem wybierać oferty pracy w całym kraju.

Zważywszy, że Polska była wtedy przede wszystkim rolnicza, tychże ofert nie brakowało. Nie pamiętam, by ktoś po ukończeniu studiów nie mógł znaleźć zatrudnienia, chyba że mocno nie chciał. Praca czekała w państwowych gospodarstwach rolnych, spółdzielniach, urzędach powiatowych, wojewódzkich, szkołach itp.

Życie każdego z nas toczy się tak lub inaczej na skutek kolejnych decyzji podejmowanych w czasie. Zawsze jest jednak ta najważniejsza, uświadomiona lub nie, często podjęta na zasadzie impulsu, ale brzemienista w skutki, po podjęciu której kolejne decyzje to już następstwo tej pierwszej i najważniejszej. Byłem właśnie przed nią.

Wśród wielu ofert mniej lub bardziej intratnych wyłowilem i zaakceptowałem złożoną przez mojego kuzyna, który w tym czasie pełnił obowiązki inspektora szkolnego w powiatowym mieście Żuromin. Oferta dotyczyła organizacji szkół przysposobienia rolniczego na terenie powiatu i pracy w nich w charakterze nauczyciela zawodu. Tym sposobem po raz kolejny dane mi było oglądać BIEŻUŃ i jego okolice, chodzić ścieżkami przedepa-

nymi dziesięć lat wcześniej, lub konstatować, że dawno znikły lub zarosły chwastami. Bo rzeczywiście Biezuń, acz powoli, odmieniał swe oblicze.

Ludzie chcieli zmieniać swoje życie i swe otoczenie. Biezuńskie liceum wypuszczało w świat kolejne roczniki absolwentów, rodem z Sokolowego Kąta, Myślińca, Strzeszewa i innych okolicznych wiosek, wyposażając ich w stosowną wiedzę i ucząc pozbywania się kompleksu prowincji. Stefan Gołębiowski, tytan pracy, pomiędzy dyrektorowaniem, pisaniami wierszy, rajcowaniem w Warszawie, wreszcie posłowaniem, dwoił się i troił, by pozostawić ślad, swój ślad, w Bieżuniu i szerzej, na ziemi zawkrzeńskiej, nękając wydawnictwa kolejnymi tomikami swej poezji, nękając władze nowymi pomysłami i nie dając zastygnąć lokalnej społeczności w bezruchu i otępieniu – wszak tak wiele było do zrobienia. Był wszędzie tam, gdzie się coś działo. Realizował swe odwieczne plany dotyczące regulacji Wkry i budowy nowych, lepszych dróg. Świat się kurczył. Dzięki nowym drogom, nowym połączeniom autobusowym i zwiększeniu ilości kursów zdecydowanie bliżej było do Warszawy, Mławy, Żuromina, Ostródy, Sierpca, Rypina.

W tym też czasie, może nieco wcześniej, rozgorzała długotrwała wojna pomiędzy Żurominem a Bieżuniem o lokalizację nowego liceum. Oczywiście wojnę wygrał Biezuń, bo miał Gołębiowskiego, Twarogowskiego, Ilskiego i im podobnych. Zaczęła się budowa, dozorowana przez ówczesnego dyrektora, który już jednak do nowego budynku nie wszedł. Porywczą naturą kontrastującą z kruchą posturą, pozwalającą załatwiać sprawy nie do załatwienia przez innych, otwierającą mu drzwi do gabinetów wielu ówczesnych prominentów, z warszawskimi włącznie, zatrzasnęła je w jego wymarzonej i wywalczonej szkole. “Szkolo, nie wejdę już w twoje progi a przecież wszystko czyniłem, aby inni wejść mogli”, tak rozgoryczony żegnał się ze swoim “dzieckiem” w jednym z ówczesnych wierszy.

Kończył już budowę i rozpoczął w niej dyrektorowanie kto inny — mój kuzyn A.P., wspominany już inspektor szkolny, który nie afiszując się tym, miał również swój pozytywny wkład w decyzję i budowę nowego liceum właśnie tutaj. Zawsze nurtowało mnie pytanie, czy stary dyrektor obwiniał nowego o to, że wysadził go “z siodła”. Do końca – i tak naprawdę to nie wiem, ale sądząc po stosunku do mnie i czytając dedykacje na kolejnych tomikach poezji wręczanych mojemu kuzynowi i jego żonie Janinie, gdy tylko pojawiły się w druku, to myślę, że nie. Winowajcy dedykuje się raczej co innego.

Biezuń zmieniał się dalej. Obydwa brzegi rzeki, rzeki już wyprostowanej i uregulowanej, spał nowy most. W miejsce drewnianego baraku, przy moście, wyrosła remiza strażacka z pomieszczeniami na dom kultury, a obok nie do końca rozsypaną żydowską świątynię wyremontowano i zamieniono w kino. Zaczął się szczybić ciasny pierścień drewnianych stodół okalający osadę od południa, nieśmiało zaczęły się wyciągać nową zabudową ulice w kierunku Sierpca, Płocka, Zawidza i Borku. Znikły ścieżki prowadzące do studni na rynku, coraz mniej wiader czerpano z rzeki, z kranów i wodociągu popłynęła woda. Biezuński rynek pozbył się kocich łbów i rozpęczniał zielonością od środka aż po brzegi wytyczone kwadratem asfaltowych ulic wokół. Przylegający do zieleni chodnik stał się swoistą promenadą i deptakiem dla biezuńian w czas wolny od pracy i święta, gdyż nowy żelbetowy most i płynąca pod nim wartko okiełznana Wkra, wyzbywszy się swej naturalności i malowniczości, przestały być atrakcją dla wędkarzy i ich obserwatorów.

Rozwijał się Biezuń rolniczo i – jak to ładnie i fachowo się mówi – zmieniał “profil i strukturę produkcji”. W bezpośrednim sąsiedztwie i dalej zaczęły pojawiać się długie charakterystyczne, z charakterystycznym zapachem, budynki – kurniki. Fakt ten skwitował w późniejszym czasie, dowcipnie, acz złośliwie, pan Gołębiowski, stwierdzając, że “w ogrodzie już nie róże, ale pachnie gówno kurze”. W atmosferze tych zapachów z mnogości wyprodukowanych jaj i brojlerów, rosły fortuny jednych, bardziej zaradnych i zdyscyplinowanych, a ginęły innych mających mniej szczęścia. O jednych i drugich dużo by usłyszeć od rdzennych biezuńian.

Skoro już o ogrodzie. Była to kolejna pasja ówczesnego dyrektora liceum. Było to miejsce wypoczynku, tworzenia, spotkań z atmosferą i cieniami przeszłości, miejsce wspominania ojca zakładającego szlachetne szczepy na jabłoniach i matki pielęgnującej kwietne cudności.

Dużą działkę pomiędzy ulicą Sierpecką a Młyńską zajmowały drzewa owocowe, okolone trawnikiem. Przed samym domem, na całej szerokości rosły róże, a miejsce to przez samego właściciela “rózańcem” zwane, było szczególnie pielęgnowane. Otóż ten różaniec od czasu do czasu rozrywał się, gdyż krzewy, z różnych powodów kończyły swój żywot, pozostawiając puste miejsca. Znając moje umiejętności (osobiście zajmowałem się produkcją krzewów różanych) i zamiłowania, zwracał się dyrektor do mnie o pomoc w uzupełnianiu paciorków tegoż różańca, twierdząc, że krzewy z mojej ręki i poręki są najpiękniejsze i najżywotniejsze. Trwała ta nasza



Rynek bieżuński pozbył się "kocich łbów" i zazielenił się. Ścieżka prowadzi na róg ulicy Warszawskiej i nieistniejący już budynek starego liceum.



Bieżuńska strzelnica. Autor i młodzież z liceum na zajęciach z przysposobienia obronnego.

Fot. Z. Dobrowolski



Otwarcie kina "Kalina" – 22 lipca 1977 r.

Od lewej: uczennica M. Domeradzka, sekretarz propagandy KW PZPR w Ciechanowie Maria Rutkowska, Stefan Gołębiowski i ówczesny dyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Olsztynie – R. Marczyński. Za nim naczelnik gminy Biezuń – J. Knothe. Fot. Z. Dobrowolski



Wrastający w ziemię dom poety Stefana Gołębiowskiego.

różana znajomość do kresu Jego życia. Ostatnie róże posadziliśmy w różańcu pod koniec lat osiemdziesiątych. Moje zamiłowania i umiejętności wykorzystał również nowy dyrektor nowego liceum, prosząc o zagospodarowanie pustych przestrzeni wokół nowego budynku szkoły, wypełnienie ich kwiatami, krzewami i drzewami. Zabrałem się do tej pracy ochoczo. Myślę, że mi się to udało, bo różane rabaty, krzewy i strzyżone żywopłoty długo zdobiły otoczenie liceum. Robiłem to spontanicznie i bezinteresownie, ciesząc się, że i mój ślad zostanie na dłużej przy tym budynku.

Nauczanie nowoczesnych metod rolnictwa rozpocząłem w Lubowidzu pod skrzydłami niepodzielnie tam panującego wówczas kierownika szkoły p. Kucharskiego i jego żony, świetnej kucharki, potwierdzającej trafność nazwiska, entuzjastki kuchni Imć Pani Ćwierciakiewiczowej. Byłem młody, sprawny fizycznie, bez zobowiązań w stosunku do innych osób. Pracowałem więc na "okrągły zegar", zajmując się nie tylko rolnictwem, ale i sportem w szkole. Myślę, że ówczesna młodzież, dziś dorośli ludzie, z sympatią wspominają lekcje wf., które starałem się prowadzić w sposób ciekawy i urozmaicony w trudnych przecież warunkach funkcjonowania szkoły. Szkoły Przynależności Rolniczego powstawały, a po wyczerpaniu się chętnych do tego typu edukacji ulegały zamknięciu. Tak było w Lubowidzu i Sinogórze. Przeniosłem się więc do Bieżunia, gdzie znów na pewien czas starczyło chętnych do nauki. Zacząłem również pracować z młodzieżą w liceum.

Taniec – to była moja pasja od urodzenia. Odkąd sięga moja pamięć, pamięć dziecka, z zapartym tchem i otwartą buzią przy okazji wesel i zabaw podglądałem swego ojca i wszelakich swych "wujków" prostujących swe, na co dzień przygarbione od roboty plecy, prowadzących dumną promenadą partnerki, a moje ciotki, wokół uprzątniętej izby, by po niej zawirować nagle i spełnić się w szalonych obrotach oberka czy polki z kropką. Oczywiście wyobraźni widziałem siebie na ich miejscu, a dziecięca fantazja kreśliła na wyimaginowanej sali coraz to znakomitsze figury. Nic więc dziwnego, że spełnieniem tych dzieciennych marzeń było moje członkostwo w studenckim zespole pieśni i tańca "Wielkopolska" w Poznaniu. Doświadczenia z wytańczonych tam lat jak i późniejsze warszawskie warsztaty choreograficzne pozwoliły mi na prowadzenie zajęć taneczno-baletowych w bieżuńskich obu szkołach na przynajmniej dobrym poziomie. W swej pracy miałem przychylną organizacyjną dyrekcję liceum, no i wspaniałą młodzież, czyli was – dzisiejsi czterdziesto-pięćdziesię-

ciolatkowie. Myślę, że lata te wspominać z przyjemnością, nadal trzymacie się prosto i w swoim życiu wykonaliście niejednego efektowny piruet — tak trzymać!

Zajmował nas w tamtych czasach sport, a szczególnie gra w piłkę siatkową. Nowe liceum wraz z salą gimnastyczną było otwarte dla wszystkich, którzy sport chcieli uprawiać. Fenomenem ówczesnego czasu była milicyjna drużyna siatkówki, reprezentacja powiatu żuromińskiego, trenująca systematycznie przy mojej i Ryśka T. pomocy i biorąca udział w organizowanych corocznie zawodach rangi wojewódzkiej. Wraz z Ryśkiem wspomagaliśmy tę drużynę swymi umiejętnościami, udając dość skutecznie członków tej formacji. Tak skomponowana drużyna nawiązywała równorzędną walkę z zespołami warszawskimi. Był to okres, w którym współpracę z “milicją obywatelską” wspominam sympatycznie.

Fenomenem było również wspólne oglądanie co ciekawszych spektakli telewizyjnych. Był to czas, w którym telewizor na użytek rodziny był wielką rzadkością, więc oglądało się telewizję w szkole. W każdy poniedziałek (Teatr Telewizji) i czwartek (Kobra) ówczesny kierownik szkoły pani Sadkowska w szkolnej sali podnosiła zasłonę zabezpieczającą magiczną skrzynkę niczym kurtynę w prawdziwym teatrze i mogliśmy podziwiać ówczesnych herosów polskich scen: Borowskiego, Opalińskiego, Świderskiego, Śląską, Holoubka. Bywało, że widownia liczyła i kilkadziesiąt osób, i nie tylko nauczycieli, i zachowywała się jak w autentycznym teatrze, fetując kończący się spektakl rżęsistymi brawami.

Realizując swe prywatne plany życiowe, kolejny raz opuszczałem Biezuń w roku 1968, by w jego pobliżu znów powrócić w 1976 i już z dystansu śledzić dalszy jego rozwój. W tym samym roku, pożegnawszy się ze szkolnictwem i rodzinnymi stronami, rozpocząłem pracę w WOPR Poświętne. Mariaż ten do końca jeszcze niezdarty i niezakończony trwa do dziś.

3.

W roku 1976, pracując jeszcze w RRZD Boguchwała, rozpocząłem korespondencję z ówczesnym dyrektorem Poświętnego Antonim Korczyńskim, zakończoną obopólnym porozumieniem i podpisaniem umowy o pracę. Byłem pierwszym i długo jedynym pracownikiem “Poświętnego” na północy nowo utworzonego województwa ciechanowskiego, na ziemiach odzyskanych od woj. olsztyńskiego, będących do tej pory pod kuratelą Bęsi.

Wydawało się, że przyszedł czas na małą stabilizację w pracy, rodzinie, w miejscu zamieszkania. Niestety – porzucane części mego życiorysu znów upomniały się o swoje, jeszcze raz wróciłem w strony rodzinne, jeszcze raz, chociaż tym razem na krócej, związałem się z Bieżuniem. Bieżuń na przełomie lat 70. i 80. przeżywał nowe “szaleństwo”. Z przyczyn ekonomicznie nieuzasadnionych, bo minęły złote lata dla ogrodnictwa, tutaj jak grzyby po deszczu zaczęły rosnać szklarnie i rzędy namiotów foliowych. Nowa moda tak zafascynowała niektórych, że porzucali dotychczasowy “kurzy” interes na rzecz produkcji ogórka i pomidora. Tak się złożyło, że w owych czasach swej wiedzy ogrodniczej, w sposób konkretny i aż do bólu kręgosłupa, używałem okolicznym ogrodnikom. Z jednym z nich, właśnie z Bieżunia, związałem się na czas dłuższy, a ponieważ praca limitowana była nie tarczą zegara, a tarczą wschodzącego i zachodzącego słońca, trzeba było w Bieżuniu zamieszkać.

Znów szlifowałem te same chodniki, rozmawiałem ze znajomymi, chociaż krąg ich dramatycznie się zmniejszył, a rozmowy były takie, jak w całej Polsce: “Solidarność”, stan wojenny, z kim ty, z kim ja... Pan dyrektor Stefan Gołębiowski trwał nadal na placówce. Zatopiony w swym ukochanym Horacym nadal dyskretnie czuwał nad liceum i starał się o budowę nowej podstawowej szkoły zbiorczej. 25 listopada 1982 roku, w dzień urodzin bieżuńskiego poety, został położony kamień węgielny pod tę największą w historii gminy inwestycję.

Jego żywotność zadziwiała wszystkich. Moi starsi koledzy zapewne przechowali w pamięci spotkanie z tym niezwykłym człowiekiem w Poświętnem, gdy raczył nas swoimi i horacjańskimi strofami. Sam zresztą chyba dziwił się swej witalności, pisząc: “Odwieczne dęby padły ścięte, a trzcina chwiejąca się na wietrze burze dziejowe przeniosła i mimo, że daleko jej do pascalowskiej, wciąż jeszcze znajduje rację bytu dla swego istnienia w domu swoim rodzinnym, który się we mnie zadomowił, chociaż się urodziłem w roku LUDZI BEZDOMNYCH”. Przez całe swe życie robił wszystko, by Bieżuniowi przywrócić zabrane ukazem carskim prawa miejskie. Stało się to 1 stycznia 1994 r. Niestety, Dyrektor pożegnawszy się ze wszystkimi ostatecznie w czerwcu 1991 r., zapewne oglądał uroczystości już z dalszej, bo niebiańskiej perspektywy.

Horacjańskie “Non omnis moriar” nie raz znalazło się pod piórem i w myślach poety. “Nie wszystek umrę” trwa w odniesieniu do jego osoby i dziś. Wszystko co miał, pozostawił Bieżuniowi, a wśród tego “wszystkie-

go” rzecz najcenniejszą – swą poezję, pamięć swego niezwykłego życia w na ogół szarej PRL-owskiej rzeczywistości i przeświadczenie ugruntowane u wielu, że to jednostki, stawiając poprzeczkę wysoko, ciągną za sobą innych, przeciwdziałając środowiskowej entropii, prowadząc w konsekwencji do samoorganizacji rodzącej wspaniałą różnorodność naszych małych ojczyzn. Biezuń dzisiaj, dzięki przywództwu niewielu i wysiłkom wielu, jest unikatem na mapie małych miasteczek z pamięcią o swoim Dyrektore, z Muzeum Małego Miasta, “Biezuńskimi Zeszytami Historycznymi” i Towarzystwem Przyjaciół Bieżunia. Musi się jednak nauczyć żyć z tą unikatowością i z niej czerpać korzyści. Do tego jeszcze daleko.

Znów w powrotnej drodze zaglądam do Bieżunia. Zatrzymuję się przy cmentarzu. Nie byłem na nim przez ubiegłe kilkadziesiąt lat, nie byłem na pogrzebie Dyrektora. Idę główną alejką, rozglądając się za jego mogiłą. Dochodzę do końca, nie znalazłem. Zadumana nad grobem i swoim nieszczęściem niewiasta każe mi iść na początek Nie bez trudu znajduję grobowiec rodzinny, a na nim lakoniczny napis: Stefan Gołębiowski – poeta. U wezłowania i nóg zaciągnęli wieczną wartę zimozieloni, nieruchomi kolumnowi strażnicy. Krótka modlitwa, chwila zadumy. To wszystko.

Zostawiam samochód na rynku, idę w Młyńską. Przedemną smutny widok rozwalającego się, czy do końca nierozzebranego budynku starej szkoły podstawowej i tak myślę sobie, że chociaż z litości i sentymentu powinni dokończyć rozbiórkę byli uczniowie tej szkoły, by wreszcie w sposób godny zakończyć mogła swój żywot. Dalej, na tle ściany pałacowych drzew, kolejny budynek wrak, widmo przeszłości – młyn, którego mury bez dachu i puste w nim otwory okienne, pozostałości po pożarze, powinny być wyrzutem sumienia dla wszystkich, od których utrzymanie takiego stanu zależy. Młyn za pierwszej mojej bytności w Bieżuniu wykonujący swą powinność siłą i energią spiętrzonej wody, po regulacji Wkry, jakby mocą pijanego projektanta odsunięty od rzeki, przez kolejne lata marniał tęsknotą za nią i niepotrzebnością.

Cofam się pośpiesznie. Rzut oka na dom poety. Jeszcze się trzyma, ale powoli garbacieje i wrasta w ziemię, stając się podobnym do swego ostatniego właściciela. Sprawia wrażenie opuszczonego i zaniedbanego. Chyba tak jest rzeczywiście. W dobie braku pieniędzy na wszystko i pogardy dla przeszłości nie rokuje mu długiego bytu. “Tryftą” idę w kierunku Sierpeckiej. Ogrodu właściwie już nie ma. Nędzne resztki umierających drzew owocowych wystają jeszcze z pospolitych chwastów i pospolitych zaro-

śli. Po sercem pielęgnowanym różańcu i moich różach nawet ślad nie pozostał. Wszystko to przystrojone śmieciami, fruującymi resztkami wszędobylskiej folii, butelkami i puszkami "Żywca" i "Kasztelana" sprawia jakże przygnębiające wrażenie.

Ulicą Sierpecką wracam na rynek szary i brudny, opustoszały, daleki od dawnej świetności, nawet tej spod znaku żelaznych kół, gdy tętnił życiem i namiętnościami cotygodniowych targowych śród.

Z ulicy Warszawskiej wchodzę w ogrodzenie liceum. Jest głębokie popołudnie, więc młodzieży już nie ma, sprzątająca kobieta spogląda na mnie z dezaprobatą, ale nie zaczepia i pozwala iść dalej. Obchodzę parter i piętro, nieśpiesznie przewijając zapisaną w pamięci taśmę wspomnień i szukając zwornika między tamtymi a tymi czasy. Nie ma, chyba że dyplom... wisi na ścianie korytarza... z okazji 50. rocznicy Rewolucji Październikowej. Szybko przerzucam w myśli dziesiątki lat do przodu: 27, 37, 47... Tak, 1967 rok, jeszcze chodziłem tu z dziennikiem pod pachą. Mimo treści i "okazji" spoglądałam nań z rozrzewnieniem, podziwiając długowieczność i niezniszczalność śladów "wielkiej" rewolucji.

Wychodzę na zewnątrz i obchodzę budynek dookoła. Bryła budynku imponująca swą wielkością i świeżością w momencie oddawania do użytku, dziś ukryta w rozrastających się drzewach, z elewacjami pokrytymi liszajami starości, zaświadcza o mizerii funduszków przeznaczanych na infrastrukturę oświaty w dniach dzisiejszych.

Tak wygląda dzisiaj bieżuński rynek i jego najbliższe otoczenie, niegdysiejsze centrum życia tej miejscowości, rynek pozbawiony szkolnej działy, zastygły w muzealnej formie i kształcie okalających go coraz bardziej niszczących domów, wydaje się, bez koncepcji na ich przebudowę, renowację, zastępstwo. Na tym ongiś największym placu Bieżunia najlepiej czują się drzewa, które posadzone lat temu prawie czterdzieści, niezbyt fachowo dobrane pod względem formy i kształtu, już dawno wymknęły się spod kontroli lokalnych architektów i stanowią samodzielny byt, niewspółgrający z na ogół parterową zabudową kwadratowego rynku. Wśród niej jedyną perełką stanowi narożny dom z zapisaną w swych drewnianych elementach pamięcią o swej fundatorce Konstancji Zamoyskiej, mieszczący m.in. kiedyś wspomniany już gabinet fryzjera, dziś wyremontowany z ogromną pieczołowitością i urządzony z dużym smakiem, jest siedzibą Muzeum Małego Miasta. Po drugiej stronie rynku narożny budynek starego liceum nie miał tyle szczęścia, nie doczekał się

CERVANTES

DON KICHOT
Z MANCZY

TOM PIERWSZY



Okladka tomu pierwszego "Don Kichota z Manczy" – nagrody otrzymanej przez autora w latach szkolnych z rąk dyrektora S. Gołębiowskiego na zakończenie roku szkolnego 1952/1953.

Rada Pedagogiczna i Komitet
Rodzicielski w uznaniu za
postępy w nauce i pracę społeczną
w zespołach przyznaje
Zbigniewowi Gzesszullo
nagrodę za rok szkolny 1952/53.

Przew. Kom. Rodz.

J. C. Najman



Dyrektor Szkoły

Wojcik

Rada Pedagogiczna.

Wiceprez. Kom. Rodz.

Drobot

Redy

Twarogowski

Białystok, dnia 25.VI.53.

Okolicznościowy wpis do książki. Można rozpoznać podpisy prof. prof.: Ziętek, A. Panka, J. Panek, H. Drobot, Redy, T. Twarogowskiego; także przewodniczącego Komitetu Rodzicielskiego – S. Majewskiego.

remontu i znika kolejnymi częściami, a wraz z nim najstarsze moje wspomnienia, te z roku 52/53.

Ale to niecała prawda. Jest przecież inny Biezuń, młodszy, zadbany, z "imponującymi" fasadami nowych domów wyrosłych nie w starym centrum, a na obrzeżach. Od kościoła do szosy sierpeckiej, gdzieś po linii starych stodół dojechać można nową szeroką ulicą, nad którą przeniosło się centrum Bieżunia. Tu jest przystanek PKS, tutaj Bank Spółdzielczy, tu wreszcie ogromny kompleks budynków mieszczących zarówno szkołę podstawową jak i gimnazjum im. Stefana Gołębiowskiego. To tu, na ulicy Zamoyskiego, jak kiedyś na rynku, krzyżują się ścieżki i interesy dzieci, dorosłych i młodzieży.

Jest Biezuń miastem. Nie mam pojęcia, co zyskał na tym, co stracił, nie pytałem nikogo. Od początku do końca nie pytałem nikogo o nic, gdyż nie chciałem, by materiał stracił piętno prywatności, a jeśli w tej prywatności kogoś uraziłem, to niech wybaczy. Idę ulicami miasta jako osoba prywatna i po tylu latach już nierozpoznawalna. To dobrze. Mam czas dla siebie i swoich wspomnień. Idę głównymi ulicami, a śpiesząc na okalające miasto pola mijają mnie ciągniki z przyczepami pełnymi obornika, nasion do siewu i pasz dla ciągle wokół miasta prosperujących ferm drobiu. Tylko krów jest coraz mniej, bo mimo że Gołębiowski poprzez regulację Wkry przysporzył im dobrej paszy, to inni postarali się, by zniszczyć ekonomikę tej produkcji.

Pora wyłączyć taśmę wspomnień. Kawał historii miejscowości, kawał historii ludzi i kawał mojego życia spletanego z życiem innych. I jeszcze tylko jedna, ostatnia refleksja nie dająca mi od pewnego czasu spokoju. Pięćdziesiąt lat temu, na zakończenie roku szkolnego otrzymałem od dyrektora Gołębiowskiego dwutomowe dzieło Cervantesa ze stosownym doń wpisem. Książka ta wędrowała ze mną wszędzie, wędrowek było wiele i dziś po tych pięćdziesięciu latach z mocno pożółkłymi już wyczytanymi stronami nadal stoi w mej domowej bibliotece. Nie powiem że Dyrektor swą nagrodą zaprogramował mi życie i wykreował na jej głównego bohatera, ale biorąc pod uwagę moje wędrowki po Polsce, moją pracę, jej różnorodność, jej wyniki, a szczególnie zapłatę za nią... hm... to skłaniam się do myślenia, że coś w tym z prawdy jest, i jeśli tak, to niech mi wybaczą wszyscy, gdyż mówiąc słowami Autora włożonymi w usta Don Kichota: "gdy jest mowa o rycerzach błędnych albo o rzeczach rycerstwa dotyczących, niemożliwą jest rzeczą, abym zachował milczenie".